
Moja droga powrotu do Polski

Urodziłam się 28.05.1927 w osadzie wojskowej Sienkiewiczze na Wołyniu. Ojciec mój Józef brał udział w I wojnie światowej, na której został ranny w głowę i pobierał rentę w Dederkałach.

Otrzymał ziemię na Kresach jak inni osadnicy wojskowi. Zbudował dom, zabudowania, posadził sad, mieliśmy też plantację tytoniu. Nas, dzieci było czworo - same córki, razem z nami mieszkali rodzice ojca.

Na początku września 1939 r szłyśmy z koleżankami do szkoły do Zahajec, która mieściła się w zamku Potockich w pięknym parku. Na moście zatrzymało nas trzech żołnierzy sowieckich z karabinami skierowanymi w naszą stronę – kazali nam natychmiast wracać do domu grożąc, że inaczej będą strzelać. 10 lutego 1940 - o 4 rano wtargnęli do naszego domu i krzyżąc „dawaj, ubierajcie się w 30 minut gotowi do wyjazdu bo ujeżdżam skorej, skorej” krzyżąc nie pozwolili dużo brać, "tam będzie wsio", strach, krzyk, płacz, szarpnęli babcię za rękę i ciągną na sanie, miała złamane biodro, więc jęczała z bólu. Potem dziadka, mówił; po co wam stary człowiek zostawcie mnie, zaciągnęli na sanie tak jak stał, w samej koszuli. Na te sanie ułożyli 3 moje młodsze siostry, które miały 2, 3 i 6 lat i na końcu mnie. Nie pozwolili nic zabrać żadnych rzeczy, jedzenia ani picia. Zawieźli nas do szkoły w Sienkiewiczach. Gdy wszyscy już weszli zamknięto nas na klucz i postawili strażników. Starszy z ruskich żołnierzy ogłosił, że ci co posiadają pieniądze i wszelkie kosztowności dobrowolnie niech oddadzą władzy, bo tam gdzie nas wiozą wszystko będzie. O późnym zmroku załadowani znów na sanie, zostaliśmy zawiezieni do Łanowiec, gdzie na bocznym torze czekał pusty pociąg towarowy. Po drodze jak jechaliśmy widzieliśmy jak w oknach naszego domu pała się światła. Ukraińcy już zajmowali gospodarstwa. Do pociągu upychano do wagonów jak najwięcej rodzin, ciasnota była straszna, a tu ani kropli wody. Kiedy pociąg stanął na pustkowiu zbierano brudny śnieg i dzieciom najpierw dawano, ale to była przysłowiowa kropla w morzu na tyle osób. Wielu ludzi umierało, na stacjach i przystankach wynoszono ciała. Droga była długa, mroźna i głodna. Po miesiącu dotarliśmy do Krasnowiszerska, tam czekały na nas sanie i ile tylko można było zmieścić osób ładowano i wieziono do Piszczonki i dalej na Ural-Sybir, a mróz był 43-stopniowy. Z tych sań zmarzniętych i głodnych zaprowadzili nas do „bani” tj. łaźni wszystkich razem do kąpieli. Krzyżeli co chwila „skorej” - szybciej. Po kąpieli kazano nam iść głodnym w mróz poprzez zaspy do przydzielonych baraków zimnych i obskurnych. Nasza Mama znalazła długi kij i kazała się nam go trzymać i iść za nią, najgorzej znosili to dziadek z babcią omal nie zamarzli. Tak skupieni razem dożyliśmy do rana. Skoro świt z kantoru biura wezwali nas do roboty przy wyrybie drzew, a mnie do obcinania gałęzi. Do lasu było parę kilometrów, a tu mróz, nie mamy ciepłych ubrań i głód dokuczał. Zmarł

dziadek, babcia i moje dwie siostry, pochowano ich w lesie tak jak wszystkich innych na Syberii.

Potem przesiedlili nas w okolice Turkiestanu. Naszą uszczuploną już rodzinę skierowano do kolchozu Bajnaul Minał. Tu ojca i mnie przydzielono do budowy drogi, nosiliśmy ziemię na nosilkach. W stajni po osłach i innych zwierzętach, gnieździło się nas 14 osób. Żydzi, Kirgizi, Ruscy zesłańcy i my 4 osoby, na słomie starej po tych co już zmarli. Pewnego ranka przyszło dwóch po ojca w mundurach i kazali iść z nimi. Potem mówiono, że to do wojska gen. Andersa. Mnie skierowano do uprawy bawełny razem z Uzbekkami, Zachrą, Ogłoją i Ogółpaczą. Dobre to były dziewczyny dzieliły się lepioskami, plackami które miały. Pewnej nocy uciekłam z miejsca pracy i po paru dniach zostałam junaczką w Armii gen. W. Andersa. W 1942 r. przetransportowano nas do Krasnowodzka, a następnie do Pahlawi tu zaatakowała nas malaria, byłam leczona w Rehowodze. Bardzo dużo dzieci umierało. Po wyleczeniu zabrano nas ciężarówkami do Palestyny, Gedery, Qastiny, a następnie do samego Nazaretu celem dalszej nauki. Budynek szkolny stoi po dziś dzień, pomiędzy Bazyliką zwiastowania N M Panny a kościołem św. Józefa z drugiej strony. Po skończeniu 2-3 klasy gimnazjum starsze roczniki były kierowane na różne kursy celem zasilania jednostek wojskowych na terenie środkowego Wschodu i Włoch. Ja ukończyłam kurs kierowców (prawo jazdy i książeczkę wojskową mam do dziś). Później ukończyłam kurs obsługi kantyny i pracowałam w kantynie. Dwukrotnie wizytował nas kardynał Augustyn Hlond. Bardzo serdecznie wspominam gen Władysława Andersa i Gen Władysława Sikorskiego kiedy odwiedzali nas. Ile było przy tej okazji ćwiczeń, marszów, każda musztra (szkoły - Junacek- Młodszych Ochotniczek - Junaków i Kadetów, którzy stacjonowali w Barbarze) musiała wypaść na medal.

Oprócz nauki nasza SMO i Kadeci brali udział w przedstawieniach w „Halce”, „Strasznym Dworze” i „Krakowiakach i góralach”. Bisowaliśmy dziesiątki razy nazywali ten repertuar „nieśmiertelnym”. Wszystko to było wystawiane w Tel Awiwie, Hajfie, Barbarze i innych miastach. Do dzisiaj gdy patrzę na zdjęcia, łza mi się w oku kręci czy to możliwe, że mieliśmy tyle zapału i siły do tej pracy, a te musztry codzienne a nabożeństwa i uroczystości kościelne a śpiewy chóralne nie da się ująć wszystkiego w słowa. Wdzięczni jesteśmy Pani Sychowskiej pełnej zawsze matczynej dobroci i Pani Dyrektor Marii Kościółkowskiej, które uczyły nas patriotyzmu, miłości Ojczyzny i wiary, że ta droga choć ciernista zaprowadziła nas do Ojczyzny do naszej kochanej Polski.

*Genowefa Barbara Walkusz z d. Szpytma
Słupsk luty 2000*